

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 31 stycznia 1914 roku.

№ 5

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

5

— Grube, zgoda. Ale nie widzę pierwotności. Ot, dorobkiewiczostwo! Znać po nich wyraźnie, jak wstydzą się samych siebie, ilekroć los zetknie ich z ludźmi z naszej sfery. Wiesz, margrabi, co za niestworzone rzeczy wyrabiał i wyrabia z całą rodziną żony hrabia Gallay de Sohet? A jednak ubóstwiają go, tego utracyusza i hulakę, człowieka niegodnego historycznego swego nazwiska — jedynie za to, że zachowuje się wobec tych wszystkich miliardarów ze swoją wielkopańską nonszalancją.

— A jednak księcia Casa de Pastellano stary papa Mac Coullagh wygnał z domu na bruk, za zwyczajny romans z panią z półświatka. Nic zostawił mu nic! Ojcu swoich wnuków.

— No, bo też dał się biedak opisać w intercyzie, zgodził się na wszystko...

— To nędzarz moralny... Jesteśmy z nim w pewnym nieodżałowanym kuzynostwie. Sprawę znam. Boć przyznasz, książę, jak już ktoś z nas popęlni podłość i wchodzi do najniższej sfery dla pieniędzy — to niechże mu w tym upadku przyświecają do pewnego stopnia jednak jakieś ideały. Niech broni godności nazwiska rodowego. Niech w intercyzie ślubnej zaznaczy swoje ludzkie prawa. De Pastellano zasłużył na swój los. Nasze stosunki z nim ustają zupełnie.

— A co myślisz, książę, o miss Slazenger?

— Szpetna, ale bardzo zdrowa, ogromnie zgrabna, straszliwie bogata. Mówiono mi, że jest zagorzałą amerykanką i choć bywa często w Europie i obraca się w najlepszych kołach, jednak odmawia wszystkim aspirantom z naszej sfery.

Niestety, było ich bardzo wielu. Posag niepojęcie kolosalny!...

— Niestety... Otóż to. Daje się zauważyć pewien prąd, podnoszony przez niektórych do wyżyn idei... Potępiam to, jako niemoralność. Do czegoż by to doprowadziło nieliczną naszą rasę? Do zwyrodnienia... Hrabia na sprzedaż! — ileż znamy takich typów!

Hrabia de Chappedelaine zamyslił się. Stał mu przed oczyma własny syn, jedyny dziedzic nazwiska. Ostatni na świecie prawy, o nieskalanej krwi de Chappedelaine!

I zagadnienie czystości rasy, które książę Pugliesi-Conti zaczął rozwijać mądrze i wymownie, ukazało mu się po raz pierwszy w życiu nie w postaci akademickiej rozprawy lub od wieków sformułowanego, znanego, jak pacierz, dość zdawkowego katechizmu, lecz jako surowe prawo natury, które domaga się poszanowania, pod groźbą zatyrania wszystkiego, co pozostało jeszcze na świecie warstwowo, przeznaczonym do przodowania.

Ostatni na świecie de Chappedelaine... Gustaw - Karol - Ireneusz - Stanisław, rasowy i dzielny, najlepszy syn, chluba przyszłej Francji, ukochanej ojczyzny, wyzwolonej z pod przewagi motłochu i odrodzonej nanowo dla przodownictwa światu.

A zanim odwróci się karta dziejów... Młody Gustaw dobiegał tymczasem trzydziestki, wiedział Europę, gdzie wszystkie salony były dla niego otwarte, był już na polowaniu z następcą tronu włoskiego, prowadził tańce na balach dworskich w Kopenhadze i był rozchwytywany przez kobiety. Pomimo jednak upomnień ojca nie żenił się.

— Drogi ojcze, znam w Euro-

pie setki panien bardzo majątnych, bardzo miłych i z najlepszych rodzin. Każda rodzina przyjąłaby mnie odrazu, bez żadnych specjalnych z mojej strony zabiegów, jednak... Niezbitem mojem przekonaniem jest, że należy zasilć rodową fortunę de Chappedelaine'ów jakimś potężnym wkładem. Panny z rodowodem są w Europie bardzo ubogie. Poszukuję, wciąż poszukuję! W ostatnich czasach radykalnie zmieniły się miary bogactwa...

Wszystko to prawda. De Chappedelaine'owie jeszcze górują majątkiem w swojej sferze — jedna z najpierwszych fortun starej Francji. Ale czasy już inne.

Niegdyś, jeszcze niedawno, panowały nad światem stare, stateczne fortuny, których ogrom wzrastał w ciągu stuleci przez pracę i zapobiegliwość pokoleń, przez szczęśliwe koligacje, przez przywileje monarchów, przez szlachetny łup wojenny. Bogactwa, skupione w starych rodach, potężniały niepowstrzymanie, jak odwieczne dęby na polanach. Uświęcała je tradycja wieków, łaska Opatrzności, błogosławieństwo Kościoła. Utwierdził je przywilej, który, dając władzę, domagał się wzamian ofiarnej służby całego żywota.

A teraz pojawiać się zaczęły niepojęte skupienia bogactw, powstające z dnia na dzień, wybuchające oslepiającym blaskiem.

Stary hrabia żywił religijną cześć dla odwiecznego ładu świata. W rozmarzonym, bezladnym jego umyśle, czasy nowe, w których się urodził, wychował i zestarzał, wydawały się jeno dolegliwą, mającą przeminąć tymczasowością, jakimś przewłokiem nieporozumieniem, które pozostało po okropnej burzy dziejowej. Kataklizm pochłonął wielką część potęgi de Chappedelaine'ów. Trzech przedstawicieli rodu dało głowę pod nóż gilotyny, resztę wicher rewolucji rozmiótł po szerokim świecie, skazał na nędzę tułactwa między obcymi. W dziedzicznych dobrach

rozsiedli się zbroczeni krwią siepacze. Wszystko, zda się, było stracone nazawsze. Szatan zwyciężył...

Jednak hrabia urodził się znowu w odwiecznym zamczysku ojców. Zło przeminęło. Stare rody dźwignęły się, zmartwych powstała dawna świętość zasługi i zacnej krwi!

A jednak...

Niestety, nie wszystko było, jak dawniej. Życie jakoś nie chciało ułożyć się w harmonijny ład. Zamęt ogarnął najlepsze głowy. Najzacniejsze rody ulegały zarazie. Wszędzie pełno wyrodków. Zachwiała się opinia.

Wśród tego zamętu nowych zjawisk stary hrabia błakał się bezradnie, coraz mniej rozumiejąc a starzejąc się, powierzał dalszą troskę o odwrócenie porządku świata ukochanemu synowi.

Najgorszą zmorą jego starości było przyćmienie szlacheckiej rasy przez nawałę ludzi nowych, którzy przywozili zza morza niesłychane bogactwa i niepostrzeżenie, niewiadomo kiedy, zapanowali po stolicach Europy, po salonach, po najświetniejszych letniskach.

Należało unikać intruzów, udawać, że się ich nie spostrzega, wymykać im się niejako. Wlazło to wszędzie, pchało się z arogancją niesłychanego zbytku, syjąc złotem.

Margrabia czuł się wobec nich nędzarzem. Wstydział się swojej nędzy, unikał ich, nienawidził, zazdrościł.

Gustaw, prowadzący bujne życie towarzyskie, zmuszony był ocierać się wszędzie o międzynarodowych parweniuszów. Zmuszony był godzić się z faktami. Zadawał się z ex-rzeźnikami, z bankierami o podejrzanej przeszłości, z właścicielami kopalń złota, srebra, miedzi, którzy nosili wprawdzie najwytworniejsze ubrania i gasili przepychem najbogatszych ludzi rasy, ale cuchnęli błotem nizin społecznych. Zadawał się nawet z żydami — a zawsze wstydział się swojej nędzy.

Z niezmiernym wysiłkiem, politykając upokorzenia, dociągał się chwilami do poziomu ich życia. Domagał się od ojca nadzwyczajnych dodatków do pensji, zaciągał długi, wyludzał po kilkanaście tysięcy od różnych ciotek — ale kiedy (było to zeszłego lata), po pięciodniowej przejażdżce po morzu Śródziemnym na jechcie Courtney'a, musiał zapłacić za pewne rozrywki i wycieczki na brzegach włoskich swoją część, czyli około dwudziestu pięciu tysięcy, ojciec, hojny i bogaty, ale gospodarny człowiek starej daty, dostał ataku, czegoś jakby bardzo słabego i przelotnego, w każdym jednak razie było to coś w rodzaju paraliżu.

Odtąd Gustaw się już nie wahał. I ojciec wiedział, że Gustaw się nie zawaha. Bolał nad tem, rozpaczał nawet chwilami, ale ani słowem nie wspominał o tem synowi.

Gustaw milczał również. Biadał stary i bezradnie rozkładał ręce, patrząc w oblicza przodków, rozwieszonych w słynnej w Europie galerii własnej w Ormondville. Nie spał po nocach, ale potroił pensję synowi. Przeklinał swój los — ale już naprzód dawał swoje ojcowskie błogosławieństwo.

— Kto? Gdzie? Skąd? — było to już niejako obojętne. Gustaw szukał.

III.

Na balkonie hotelu „Matterhorn” stali, oparci o granitową balustradę, dwaj dżentelmeni i, paląc cygara, poglądali ku górcom.

Wszystkie szczyty dymiły jeszcze mgłami. Lodowce lśniły niepokalanie białym, młodym śniegiem. Pochowały się zwały gruzów, znikł czarny nalot okrucichów skałnych, namułu i wszelkiego brudu lodowcowego. Pozostały tylko czarne pręgi wielkich szczelin. W dole było tak jasno, że na tle białej przestrzeni gołem okiem wyraźnie dostrzedz można było czarny sznur maleńkich postaci, ciągnących po polach śniegowych od strony przełęczy Św. Theodula.

— Co, stary, chyba i my pójdziemy rozerwać się w te góry? Nic nam tu nie pozostaje do roboty. Uparłeś się. Czekamy, czekamy...

— Czekaj, dopóki każą!... Nie jest tak, jak być powinno, ale może jeszcze być nieźle.

— Nie, ojcze. Należało odrazu wiać stąd, jak nam się tylko noga powinęła na samym wstępie. Już nie mam wiary. Wyrzucili nas z Astorii — trza było przesiedzieć dwa dni dla przyzwoitości i czekać na nich gdzieindziej. Fałszywy krok!

— Głupiś. Iluż to najprawdziwszych dżentelmenów nie przyjęto do Astorii? Pozamawiane wszystko, niepogoda, czekają na swoich gości.

— Ojczaszku! Uważałem ja dobrze, jak na nas popatrzył portyer. Ja jego pamiętam — robił dawniej w „Glyptonie” w Montreaux. Ja go znam. Spryciarz jasnowidzący! I dobrze jeszcze, jeżeli mnie nie poznał... Jeżeli naprawdę nie poznał.

— Głupi jesteś. Wygląd mamy obadwaj — najpierwszej klasy. Walizki — jakich nikt na świecie nie ma lepszych. Hans jest wzorowy. I pięniędzy dużo, a wraże jakiej nieprawdopodobnej ostateczności dokumenty, lepiej niż autentyczne! Czego ty się przyglądasz portyerom?

— W naszym fachu wszystkim się przygląda! Tak mnie sam uczyłeś.

— Głupstwo. Widzieć wszystko, niczemu się nie przyglądać! Bez imaginacji, Derjac!

— Nudzę się tutaj. Chyba jutro pójde sobie na jaką wycieczkę. Pogoda się ustala.

— Idź. Góry, to niebrzydka rzecz.

— Wiesz, stary, miałbym okrutną ochotę wycpać tu z parę tygodni — raz a po ludzku. Żeby o niczem nie myśleć. Dajmy spokój na ten raz. Widzisz, że się nie wiedzie.

— Chce ci się wypoczywać? Rychło w czas, jesteście w połowie drogi. Jak się uda — to na jesieni wytchniemy przed sezonem zimowym, przed Paryżem.

— Ogromnie tu pięknie.

— Niczego sobie, ot tak popatrzyć. Ale na dłuższy pobyt za ponuro. Las, łąki, rzeka — z wędką sobie poleżeć na trawie, to rozumem.

— Ja, kiedy już dojadę do portu — osiadę sobie w górach. Maleńka, cudowna willa, z bajecznym rzutem oka. Wybiorę sobie miejsce niedaleko stąd, ale po włoskiej stronie.

— Ja stary a nigdy nie myślę o porcie. Jeszcze mi czas. Ja się na byle czem nie zatrzymam.

— Ani ja. Ale, u dyabła, przecież po to pracujemy, żeby dojechać!

— Młody jesteś — a ja pracuję od dwudziestu pięciu lat. Mógłbym już spocząć, niczego by mi nie brakowało. Ale tego niedosyć.

— Ja, kiedy dojdę do miliona...

— Głupi! Głupi jesteś, synku. Nie odzywaj się nigdy przy mnie w podobny sposób. Doskonały z ciebie technik, ale dusza w tobie mała.

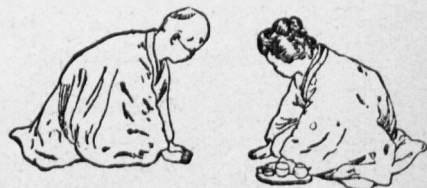
— Dajże mi dokończyć!

— Wiem. Operacje na giełdzie, szachrajstwo legalne, ożenisz się z posagiem, weźmiesz drugi milion i stracisz wszystko. Nonsens! Zjedzą cię giełdciarze. Ty jesteś tylko technik. Rób swoje.

Derjac wodził lornetą po górach. Stary palił cygaro i przechadzał się po balkonie. Obserwował ludzi, snujących się po Hall'u za oszklonemi drzwiami. Od paru dni uwagę jego zwróciło młode małżeństwo, jacyś francuzi szwajcarscy, przybywający tu z nad jezior włoskich, gdzie było im za gorąco. Tu znowu było im za zimno. Do „Astorii” również nie mogli się dostać, na co się nieraz skarżyli, wyrzekając na złe położenie hotelu „Matterhorn”. Towarzyscy, rozbawieni. Dama flirtowała zaczepnie z pięknym Derjaciem, a młody mąż zupełnie tego nie dostrzegał. To zwróciło uwagę starego.

Derjac flirtował, ale z całkowitą dystynkcyą. Już byli we dwoje na małej przechadźce, ale młody człowiek nic jeszcze nie mógł wywnioskować. Wyczuwał jeno, że sam jest badany. Albo zwykła ciekawość podniecone kobiecie — albo...

DCN.



III. ZORZA PÓŁNOCNA.

Dusza zachwiała się w trwożnym zamięcie.
Zdawato mi się, że zmyliłem drogę,
Że słuch zawarły mi ciężkie pieczęcie,
Z oczu zasłony czarnej zdjąć nie mogę,
Że ciąży na mnie czyjeś złe zakęcie,
Wiąże ramiona, obezwładnia nogę,
A tem zakęciem jest jęk mego brata,
Który z nowego siedliska dolata.

O straszna nocy, gdy swym ciężkim lotem
Dosiągnął mnie wreszcie wielki mocz- ból!
Padłem przebity nawskroś jego grotom
Pośród lodowych, obojętnych pól.

O straszna nocy! A przecie tak cicha
I tak bezdennie cała szafirowa,
Tak modlitewna, — nie modlitwą mnicha,
Co w ziemskim prochu twarz zbolalą chowa,
Rozpamiętywa grzechy świata, wzdycha, —
Noc bogobojnem milczeniem echowa,
Noc, co się jarzy, nie pomnąc o niczem,
W cichej ekstazie przed boskiem obliczem.

Gwiazdy w szafirze od krańca do krańca
Płoną wśród mlecznych, tajemniczych dróg
Naksztalt jednego wielkiego różańca,
I ten różaniec przebiera sam Bóg.

O straszna nocy! Nocy pod biegunem,
Nocy, gdzie jest się poza śmierci progiem,
Gdzie ziemia, białym odziana całunem,
Zlewa się, stapia, utożsamia z Bogiem,
Gdzie całe niebo kwitnie złotem runem,
A ziemia leży już wolna, odlogiem,
I tylko gwiazdom śle radosne wici
I swoje łono ich jasnością syci.

O straszna nocy! Przyniosłem na żer ci
Moją waleczność młodą i mój trud,
Ale za progiem twojej białej śmierci
Żywego Boga czekał na mnie cud!

Bo kiedym szedł tak po śniegów białości,
We własnej duszy zapadałac głębie,
Trącąc stopą zmarłych wieków kości
I budząc przeczuć zwiastujące gołębie, —
Uderzon snopem przedziwnej jasności,
Nagle stanąłem na lodowym zrębie
I drżącą dłonią przystońiłem oczy,
Nie mogąc znieść tej promiennej roztoczy.

Zorzo Północna! Święty sakramencie!
Groźne misteryum wniebowziętych ziem!
Oto opadły tajemnic pieczęcie,
Rozkwitło jawa, to co było snem!

Uklekłem. Dusza stała mi się cicha,
Jako to niebo, jak tych pól całuny.
Schyliłem głowę. W proch upadła pycha.
A ręka boża różnobarwne luny
Z szafirowego wylała kielicha.
Graty bezdźwięcznie gwiazd promiennych struny,

Lśniły białością wiecznych śniegów ściele, —
Msza się stawiała w wszechświata kościele.

Była ta cała tęczowość zjawiska —
Jak sen najlżejszy i jak ciężki spiż.
Zwolna sunęły słupy i koliska,
A w środku jaśniał wielki krwawy krzyż.

Zorzo Północna! Ofiario spełniana
W niepokalanych lodowców świątyni
Przez największego wszechświatów kapłana,
Który ten symbol własnej męki czyni!
Musiała dusza moja zablakana
Przed twe ołtarze w samotnej pustyni
Zbłądzić raz jeszcze w swem dążeniu chyżem,
By się ukorzyć przed tym krwawym krzyżem.

Musiałem stracić młodą siłę ręki,
Musiałem chyżość postradać mych nóg,
Aby duch przyjął tę komunię męki,
Aby rodzime drogi znaleźć mógł.

Nie wiem, jak długo leżałem bez ruchu,
Przykuty mrozem do lodowej skały,
Coraz to głębiej tonąc w śniegów puchu,
Gdy nagle z wiatrem jęki doleciały
Do ostatniego mej woli okruczu.
Poznałem głos. Brat wołał. Drgnąłem cały.
I słabych mięśni ostatnim wysiłem
Podniosłem się na nogi. Jeszcze żyłem.

Wiedziałem wszystko! Śród tej dzikiej roli
Moją krwawicą zbudowany dom
Stał się dla braci mych domem niewoli!
Zdjęta mię rozpacz bezdenna i srom.

Przez białe pola nieprzytomnie biegłem,
Kędy zamarzłej rzeki brzeg się spiętrza.
Tam, na wysokim wzgórzu przeciwległem
Dom się rozpierał. Gdy wpadłem do wnętrza
I w wielkiej izbie gdy brata spostrzegłem,
Lunęła mi do serca krew gorętsza:
Stał przywiązany do filara sznurem,
Wokół tańczono i śpiewano chórem.

Huczala ucztą rozjuszonej hordy,
I każdy z nożem w rękę wszczynął tan.
Szeroko śmiały się pijane mordy,
A w piersi jeńca było już sto ran.

Jak siny upior w tłum taneczny wpadłem.
Miałem w lodowych soplach siwą głowę,
Śmierć jeszcze była na czole wybladłem.
Ale już w oczach — błyski piorunowe.
Zdałem się być przeraźliwym widziadłem.
Tłum się zawahał, rozpadł przez połowę
I przerażony nie bronił mi drogi...
Uklekłem, całowałem brata nogi...

Rwałem mu więzy na zbolalem cielem,
Dźwignąłem, niosłem w białych śniegów pył.
Tyżeś to był tam, mój stróżu aniele,
Coś mi dodawał w tej wędrowce sił!

IV. POCHÓD.

*Drogi powrotu! Przebolesne drogi!
Do ziemi ojców wędrówko banity!
Stopy się krwawi o ciernie i głogi,
Ale wzrok widzi tęczowe rozkwity.
Trupa się niesie na plecach — kształt drogi —
I trupa w sobie — duszy kształt przeżyty,
Lecz ta umarła dusza — przecie bliźnia —
Duszę żyjącą, jak popiół, użyźnia.*

*Bo jako popiół urodzajnym lanom,
Tak życiu jest tworzywem każdy skon.
Dziś błogosławie wszystkim moim ranom,
Trupa przynoszę — dni walecznych plon.*

*Brat mi umierał w przydrożnym szalasio
Na obcej ziemi. Był początek wiosny,
Już się budziła ziemia w owym czasie,
I wiatr z daleka przylatał radosny,
Szeptał tajną wieść — o ojczyzny krasie,
O tem, jak szumią na pagórkach sosny.
O tem, jak stare topole przy drogach
Czują na zadumanych rozłogach.*

*Chory w gorączce krzychał nieprzytomnie:
Śmierci wiosenna! Śmierci w wieńcu róż!
Ty — litościwa — jużś przyszła po mnie!
Zdejm i na skronie mój swój wieniec włóż!*

*Wyzionę ducha na rodzimym wietrze,
Jeżeli los mi broni na mej ziemi
Zamknąć powieki! — Jął wdychać powietrze
I w niebo patrzył oczami błędnymi.
Potem szeptały usta coraz bledsze,
Które już lada chwila śmierć oniemi:
Chcę leżeć ciałem między ojców prochy,
W glebie, po której wnuków przejdą sochy!*

*A duch, co w ciele mem żywie do zgonu,
Już do odlotu gotów, już mu czas.
Do bratnich duchów powrócę regionu
I będę znowu służył pośród was.*

*I w majaczeniu sennem mówił dalej:
Biada zbłąkanym na bezdrożach świata!
Biada tym, co na obczyźnie skonali!
Prochy ich wicher złowrogi zamiata,
Szarpia je paszcze wilków i szakałi,
A duchy czeka męka i zatrata.
W jesiennych polach śród uwiedłej naci
Błędzą i płaczą i nie znajdują braci...*

*Umilkł i patrzył, jak się dąb zielenił,
Westchnął, jakgdyby strząsnął z serca ból...
A wiatr wiosenny nagle się odmienił,
Poniósł to tchnienie do rodzimych pól.*

*Drogi powrotu! Wziąłem trud na bary!
O własnych siłach nie mógłbym mu sprostać...
Gleby wiosennej, wilgotnej ciężary
Więziły stopy. Wicher twarz jął chłostać,
Odrywał, rzucał pod nogi konary.
Tak brnąłem. Straszna była moja postać,*

*Schyłona, trupa na sobie niosąca
Po rudych polach przy blaskach miesiąca.*

*Lecz gdy padałem i nie miałem siły,
Aby nanowo z mem brzemieniem wstać,
Jakieś mi skrzydła lekkie podnosiły,
Strzegła mię duchów niewidzialna brać.*

*I dalej szedłem, nie zwalnając kroku,
Bez wypoczynku. Bo żadna chatupa
Nie chciała gościć nas. Mego widoku
Bali się ludzie więcej, niżli trupa.
Blask borealnej zorzy miałem w oku,
Do lodowego sam podobny stupa,
Którego ani dech wiosenny, ciepły,
Ani to słońce stopi — tak jest skrzepły.*

*Bali się także ludzie tej promiennej
Drużyny duchów, która ze mną szła,
Chwiejąc się z wiatrem, niby majak senny,
Niby w półmroku zawieszona gźla.*

*O, duchy bratnie, o, męczeńskie cienie!
Długo błądziliście, żebrząc pomocy,
Długo przeszywał te mroczne przestrzenie
Wasz jęk żaloszny, wasz lament sierocy,
Aż oto przyszło dla was odkupienie,
Zorza zabłyśta w beznadziei nocy,
I bratni zewłok, kłam zadając lodom,
Wiosennym szlakiem prowadzi was do dom.*

*Drogi powrotu! O, pielgrzymko święta!
Pochodzie żywych, i martwych, i mar!
Zniewala serca i dusze nam pęta
Ojczystej ziemi niewymowny czar!*

*O, ziemio nasza! Matko przebogata!
Nasze żywoty — twych losów ogniewa.
Jakże ten łańcuch cudownie się splata:
Życie zapada w śmierć, lecz śmierć jest żywa,
I jeszcze więcej jasna i skrzydlata.
Przywitaj synów twych, matko szczęśliwa,
Bo — oto — wszyscy — żywi i umarli —
Z biegunów świata do twych stóp dotarli.*

*Drogi powrotu! O, drogi krzyżowe!
Krwia moją był znaczony każdy ład!
Życie! Dziękuję ci, schylając głowę,
Za każdy zawód mój, za każdy błąd!*

*O, duszo moja! Przeszłaś wszystkie stopnie,
I każdą mękę, i każdy wysiłek,
Brnąłaś, szukałaś, walczyłaś okropnie,
Aż oto wreszcie po przez las omyłek
Lot twój wysoki swego kresu dopnie,
Staniesz na szczycie, skąd już widać schylek,
I z jednej strony niepowrotne wieki,
Z drugiej — przyszłości horyzont daleki.*

*I w tym głębokim i mądym spokoju,
Pobożnie wznosząc zadumany wzrok,
Do gwiazd szemrzących złocistego roju,
Zrobisz ostatni nad przepaścią krok.*



Tego mi już było nadto. Rozpłakałam się na głos; Jurek zaś podśpiewywał i pogwizdywał, targając za powróż u dzwonu, iakgdyby nie nie zaszło.

Ciemności wzrastały; nocny powiew przeciągał coraz silniej po falach, a ja zaczęłam trząść się z zimna, jak listek.

— Worek! — wykrzyknął Jurek. — My zawsze śpiemy w workach podczas eksploracji.

Pozwoliłam mu robić ze mną, co chciał; ale gdy mnie już wpakował do worka i ułożył w najwygodniejszym miejscu, mówiąc mi, że wszystko jest jaknajlepiej, przyszła mi pewna, okropna myśl i, chlapiąc, rzekłam:

— Jurku.

— A co?

— To moja wina... Ja jestem takim tchórzem, jak siostra Jimny Christophor'a, iak Nessy i Betsy... nie jestem wcale dobry numer; więc zapewne zostawisz mnie tu samą i...

Ale Jurek przerwał mi wybuchem śmiechu.

— Ja bym cię miał zostawić? Jeszcze czego! My nigdy nie porzucamy towarzyszy podczas eksploracji. Nigdy.

To mnie zmiażdżyło do reszty. Wybuchnęłam rzewnym płaczem, a iamiunik podniósł w górę mordkę i począł wycić żałośnie.

Co się dalej stało — nie wiem dokładnie. Miałam tylko wrażenie, choć leżałam odwrócona plecami do mego towarzysza, że Jurek, zniecierpliwiony daremnie szarpaniem sznura, skooczył i uwiesił się sam u sereca dzwonu. Jakoż usłyszałam jeden donośny dźwięk, potem jakiś łomot i wszystko umilkło.

— Co się stało? — wykrzyknęłam, ale narazie nie było odpowiedzi.

— Jurku! Czyś sobie zrobił coś złego? — ponowiłam zrozpaczo-nym tonem.

I wtedy poprzez gniewny szum rosnących bałwanów doszedł mnie głos biednego chłopca (złamał sobie prawą rękę), przerywany łkaniem, które napróżno usiłował stłumić:

— To nic... Podczas wyprawy... zawsze trzeba być przygotowanym na trochę bólu... Ale to nie!

A tymczasem na lądzie panowało wielkie zamieszanie. Mój ojciec krzyczał na ciotkę Brygidę, ta laiała moją matkę; moja matka z płaczem dopominała się o Ojca Dana; Ojciec Dan biegł po doktora Conrada, a doktor Conrad, zaprzęgniwszy konia do bryczki, udał się na poszukiwanie dwojga zaginionych dzieci.

Lecz Tommy Majtek, przypomniaławszy sobie wczorajszą rozmowę, pobiegł co żywo nad morze, zo-

baczył tam łódź swoją chybotającą się u brzegu i odrazu zorientował się w sytuacji.

Przy świetle latarni dotarł do skały Panny Maryi, odszukał nas wprędce, gdyż dopomogło mu w tem nieustające wycie iamiunika, i zawiózł na ląd z powrotem.

Nie czekały nas tłumy z wieńcami i pochodniami. Tommy, zostawiwszy Jurka w objęciach matki u furtki domku doktora, odniósł mnie na plebanię, by ojciec Dan sam mnie zaprowadził do domu i zastawił przed pierwszym impetem ojcowskiej furji i różgi ciotki Brygidy.

Niestety, ostrożność ta była zbyt czarna. Zastaliśmy w domu wielki zamęt. Matka moja dostała krwotoku.

Rozdział IX.

Przez dwa tygodnie, podczas których moja matka leżała w łóżku, byłam jej nieodstępną towarzyszką i pomocnicą. Z dziecięcą nieopatrnością, która o jutrze nie myśli, biegałam po domu na palcach, przynosząc jej lekarstwa, mleko, lód i wyobrażając sobie, że moje posługi są nie do zastąpienia.

— Prawda, mamusiu, że nie potrafiałabyś się obejść bez swojej małej Maly? — mawiałam; a matka, gładząc moje włosy pieszczołliwie swoją białą wychudłą ręką, odpowiadała:

— Tak, kochanie, nie potrafiałabym się obejść bez mojej małej Maly.

Ja wtedy podnosiłam dumnie głowę do góry i czułam się ogromnie szczęśliwą. Przez cały ten czas nie widziałam Jurka, ale z rozmowy doktora Conrada z moją matką wiedziałam, że złamana ręka zrasta mu się szybko i że, gdy tylko zupełnie wyzdrowieje, rodzice poślą go do kolegium króla Jerzego, na drugim końcu Ellanu. Co ze mną będzie nadal, o to nie pytałam, poprzestając na tę pewność, że moja matka obejmie się bezemnie nie może.

Raz po raz widywałam, jak listonosz przynosił duże koperty, opatrzone zagranicznymi markami, o wielkich pieczęciach, na których wyciśnięte były różne pobożne emblematy; raz po raz też, gdy z gabinetu ojca na dole dochodziły odgłosy jakichś ożywionych rozmów pomiędzy moim ojcem a ciotką Brygidą, matka nakazywała mi mileżenie i zdawała się nasłuchiwać; nie przychodziło mi jednak do głowy, aby to mogło mieć jakikolwiek związek ze mną, aż po dzień, w którym moja matka po raz pierwszy podniosła się z łóżka.

Było chłodno, jesienne popołudnie, i matka moja siedziała przed kominkowym ogniem na fotelu, a ja kręciłam się koło niej, otulając jej kolana pledem, gdy dało się słyszeć nieśmiało pukanie do drzwi, i wszedł Ojciec Dan. Widzę jeszcze jego jasnowłosą głowę i pękata, krótką postać, i słyszę łagodny, stłumiony głos, jakim przemówił:

— Tylko się nie martw, moja córko. Przedewszystkiem, tylko się nie martw!

Matka moja wiedziała z doświadczenia, iż słowa te były oznaką własnej troski zacnego kapłana, i usta jej poczęły drżeć, gdy zagadnęła:

— Może Mary pobieglaby lepiej do ogrodu?

— Nie. O, nie! — odrzekł ojciec Dan. — Właśnie przychodzę o niej pomówić; więc nasza pieszczołka może pozostać.

Na dany mi przez matkę znak przytuliłam się do jej boku, a ona objęła mnie drżącym ramieniem, podczas gdy Ojciec Dan usadowił się po drugiej stronie i, obracając w palcach srebrny krzyżyk, z widocznym pomieszczeniem przystąpił do spełnienia swojej misji.

Treść jej zaś była taka, że po długich naradach postanowiono oddać mnie do klasztoru Sereanek w Rzymie. On sam miał mnie tam zawieźć i umieścić. Ojciec i ciotka Brygida przyrzekli mi uroczyście, że na święta przyjadą do domu. Nie było więc czego się martwić, ani lękać, ani...

Moja matka słuchała czas jakiś w mileżeniu, lecz, niezdolna powstrzymać się dłużej, z twarzą śmiertelnie bladą i zmienioną, wykrzyknęła:

— Ależ to niemożliwe! Toż to maleństwo. Siedem latek zaledwie! Kto słyszał takie dziecko oddawać z domu!

Ojciec Dan próbował ją uspokoić. Prawda, że byłam jeszcze mała, ale Wielebna Matka była taką zacną kobietą! Będzie mnie kochać i opiekować się mną, jak własnym dzieckiem. A i zakonnice, święte dusze...

— Ale Mary jest wszystkiem, co mam na świecie! — wykrzyknęła moja matka. — Jeżeli mi ją zabiorą, co ja pocznę? I teraz właśnie! Och! jacy oni okrutni! Wiedzą przecież, co powiedzieli doktorzy. Czy nie mogliby trochę poczekać?!

Oczy Ojca Dana napelnily się łzami, mimo to, wierny misji, jakiej się podjął, rzekł:

— Tak, to ciężko dla ciebie, moja córko, bardzo ciężko. Wiem o tem. Ale dla dziecka może to i lepiej, że opuści dom — może taka jest błogosławiona wola Opatrzności. Pamiętaj, że jest tu osoba niedobrze dla naszej pieszczołki usposobiona, i że to wywołuje ciągłe domowe niesnaski. Nie mówię, żeby w tem była jaka zła wola ze strony tej osoby...

— O! jest zła wola! — prze-
rwała moja matka z coraz większym
podnieceniem.

— W takim razie jeden więcej
powód, żeby Mary oddać do klasz-
toru — na czas jakiś w każdym ra-
zie.

— To... to... oddać ją do klasz-
toru, ale tu... na wyspie.

— Myślałem o tem, lecz tu go
niema — odpowiedział Ojciec Dan.

— Więc... więc... niech ją Ojciec
zabierze na plebanie — rzekła moja
matka, i mówiła dalej błagalnie: —
Ojczy, drogi Ojczy, niech ona zamieszka
pod twoim dachem; może prze-
cież mieć przy sobie nauczycielkę,
a wtedy mogłaby przychodzić do
mnie codziennie, a choćby dwa razy
tygodniowo — lub wreszcie raz...
Widzi Ojczy, że nie jestem zbyt
wymagającą, że potrafię być rozsąd-
ną.

— Ach! byłoby to bardzo pię-
knie — odparł Ojciec Dan. — Nasza
mała Mary byłaby promykiem słońca
w moim pustym domu. Ale są
powody, dla których taka panienka
nie może się chować w domu księ-
dza; więc będzie najlepiej, jeżeli na-
sza pieszczotka pojedzie do Rzymu.

A widząc, że matka moja mięk-
nie coraz bardziej, dodał:

— A prztem, moja córko, po-
myśl, z jaką to będzie korzyścią dla
Mary. Zostanie dziecięciem Jezuso-
wem, a potem Najświętszej Maryi,
a potem samego Przenajświętszego
Serca. I wreszcie, pamiętaj: Rzym!
Święte miasto! Stolica Apostolska!
Kto wie, może danem jej będzie uj-
rzeć kiedy Ojca Świętego!

— Tak, tak, wiem — odpowie-
działa moja matka, poczem, zwraca-
jąc się ku mnie z żalawionemi oczyma,
rzekła:

— Jakże, czy moja Mary chcia-
łaby pojechać, zostawiając swoją
mamusię, lecz wiedząc, że będzie
przyjeżdżać na święta i wakacje?

Miałam już odpowiedzieć, że nie
chciałabym, bo mamusia nie mogła-
by się obejść bezemnie, gdy ciotka
Brygida, brzęcząc kluczami, wkro-
czyła do pokoju, a usłyszawszy
zwrócone ku mnie pytanie mojej
matki, rzekła swoim twardym, krzy-
kliwym głosem:

— Izabelo! Zdumiewasz mnie!
Pytać się dziecka o jego chęci! I to
jakiego dziecka! Tak zepsutego i
samowolnego! Jeżeli *my* mówimy
że to będzie dla jej dobra, aby poje-
chała, to pojechać musi.

Uczułam, że ramię mojej matu-
chny, wciąż mnie opasujące, poczyna
drzeć gwałtownie, ale narazie ona
sama nie rzekła nic, a ciotka Brygi-
da ciągnęła dalej swoim bezwzględ-
nym tonem:

— Według *nas*, będzie to dobrze
i dla ciebie, Izabelo, że ta smarkata
nie przwspieszy ci śmierci, szarpiąc
ci wciąż nerw i doprowadzając do
krwotoków. Mamy więc na wzglę-

dzie i ciebie, i twoją córkę, wypra-
wiając ją z domu.

Tego już tkliwa dusza mojej
matki znieść nie mogła. Był to, za-
pewne, jedyny porыв gniewu tej
słodkiej istoty, z jakim, zebrawszy
wszystkie siły, zwróciła się do ciotki
Brygidy:

— Brygido, — rzekła — to nie-
prawda. Wiesz to sama. Ty chcesz
tylko rozdzielić mnie z mojem dziec-
kiem. Gdyś wstąpiła w mój dom,
myślałam, że będziesz lepszą dla
mojej Mary, niż ktokolwiek, ale ty
odrazu uprzedziłaś się przeciwko
niej, byłaś dla niej okrutną, a gdy
ja tu leżałam chora i bezradna, ob-
chodziłaś się z nią jaknajgorzej.
O! ty masz serce tylko dla swego
dziecka i nigdy ci to na myśl nie
przyszło, że, wprowadzwszy swoje
dziecko do mego domu, starasz się
moje własne dziecko z niego wyrzu-
cić.

— Więc ty się tak na to zapa-
trujesz? — rzekła ciotka Brygida,
a jej chłodne, stalowe oczy zabłysły
złowrogo. — Sądziłam dotąd, że
przybyłam do tego domu — twego
domu, jak go nazywasz — w najlep-
szych zamiarach, dla oszczędzenia
ci trudów gospodarskich, skoro by-
łaś niezdolną wypełniać swoje obo-
wiązki, jako pani domu. Ale ponie-
waż karcę twoje dziecko, gdy jest
złe, krnąbrne i zuchwałe...

— Karę swoje własne dziecko,
Brygido, — wykrzyknęła moja mat-
ka, — a moje mnie zostaw. Ono jest
wszystkim, co mam na świecie, i
długo już się niem cieszyć będę.
Wiesz bardzo dobrze, że nie byłam
bardzo szczęśliwą w małżeństwie,
lecz zamiast pośredniczyć pomiędzy
mną a jej ojcem...

— Przestań! — rzekła ciotka
Brygida — nie chcemy, żebyś mu
szkodziła i dostała nowego krwoto-
ku.

— Brygido! — wykrzyknęła
moja matka, podnosząc się z fote-
lu — jesteś niegodziwą kobietą o ka-
miennem sercu! Wiesz równie do-
brze, jak ja, że to nie Mary była
przyczyną mojej choroby, lecz ty,
ty, która nastwiłaś się nademną i nad
mojem dzieckiem przez siedem lat
bez przerwy, a teraz rozporządzasz
niem poza memi plecami, nie zapy-
tawszy mnie o zdanie. Jaktóż? Czyż
matka nie ma prawa do swego dziec-
ka? — do dziecka, dla którego cier-
piała i dla którego wyłącznie żyje,
i czy to możliwe, aby ci, których
ono nie nie obchodzi, odrywali je od
niej i posyłali gdzieś daleko, do ob-
cego kraju, by go już może nigdy
więcej nie zobaczyła? O! Ale to się
nie stanie! Nie dokażesz tego! Do-
póki iskra życia pozostanie w mojem
ciele, nie dokażesz tego, a jeżeli
spróbujesz...

W najwyższem uniesieniu mat-
ka moja, wciąż obejmując mnie je-
dną ręką, podniosła drugą do twarzy
ciotki Brygidy, gdy wtem umilkła

nagle. Usłyszała ciężkie kroki na
schodach. Drzwi się otwały i wszedł
mój ojciec z namarszczonem czo-
łem.

— Czego nie dokażesz? — zapy-
tał od progu.

Moja matka osunęła się mileżą-
co na fotel, a ciotka Brygida, ocie-
rając oczy czarnym fartuchem —
płakała jedynie w obecności mego
ojca — zabrała głos:

— Dowiedziałam się, że jestem
najniegodziwszą kobietą na świecie,
a choć od siedmiu lat haruję w tym
domu, jak ostatnia sługa, nie robię
nic innego, tylko przemyśliwam, jak-
by stąd dziecko mojej siostry wy-
rzucić. Dowiedziałam się również,
że nikt tu nie ma prawa rozporzą-
dzać małą; że matka jest jedyną i
ostatnią instancją w tej sprawie, a
jeżeli spróbujemy...

— Co takiego? — przerwał mój
ojciec i ciągnął dalej twardym, na-
kazującym tonem

— Odkąd że to ojciec nie
ma władzy nad swoją córką. A któż
łoży na nią, jeżeli nie on? Je-
żeli jej czego potrzeba, to któż
się o to troszczy, jeżeli nie on?
Natomiast winna mu bezwzględnie
posłuszeństwo. Tak było od począt-
ku świata i tak będzie. Więc o co tu
ten cały harmider?

— Ja tylko mówiłam, Danielu... —
zaczęła moja matka słabym głosem.

— Mówiłaś głupstwa. Każdy
człowiek może robić, co mu się po-
doba, ze swoją własnością. Jeżeli ta
dziewczyna jest mojem dzieckiem,
to *musi* stosować się do mojej woli.

I z temi słowy ojciec mój ude-
rzył pięścią w stół.

Po raz pierwszy dopiero uzna-
wał mnie za swoją przynależność,
i może to podziało na moja matkę;
odrzekła bowiem pokornie:

— Bardzo dobrze, mój drogi,
Ty wiesz najlepiej, co może być do-
brem dla Mary, i jeżeli powiadacie...
ty i... Brygida... i... Ojciec Dan...
— Ja tak powiadam i to wystar-
cza. Więc zaimij się jej wardenobą
i nie zawracaj mi więcej głowy tą
sprawą, bo ja mam o ważniejszych
rzeczach do myślenia.

Moja matka poruszyła bezdźwię-
cznie ustami, ale nie rzekła, a o-
jciec odwrócił się i wyszedł z pokoju,
stawiając ciężko, aż posadzka trzeszc-
zała pod jego ciężarem. Ciotka
Brygida podreptała za nim, brzęcząc
kluczami.

Zaledwie wyszli, matka moja
dostała gwałtownego napadu kaszlu,
a gdy ją wreszcie ominął, osunęła
się wyczerpana na poduszki fotelu
i leżała tak bledziutka z oczyma
wzniesionemi w górę. Ja wówczas
objełam ją za szyję, a Ojciec Dan,
po którego policzkacli spływały ci-
che łzy, poklepał jej zwieszoną rękę.

Matuchna moja ukochana! Za-
wsze myślę o niej z jaknajwiększą
tkliwością, ale odkąd z własnego do-
świadczenia wiem, ile wycierpieć

musiała, najchętniej przedstawiam ją sobie taką, jaką była owego dnia — ta piękna, anielska istota — buntująca się na jedną chwilę netylko przeciwko ciotce Brygidge, ale przeciwko okrucieństwu w wszystkich wieków, silna poczuciem boskiego prawa swego znieważonego macierzyństwa.

DCN.

Wiadomości literackie.

Z literatury polskiej.

ZBIGNIEW BRODZKI. „Szkice społeczne literackie”.

Zbiór studyów społecznych i literackich Zbigniewa Brodzkiego odsłania przed nami wrażliwą i idealną duszę pisarza, który już w zaraniu swojej działalności, złożony niemocą, zszedł do mogiły. Napewno przyszłość jego byłaby dała naszemu piśmiennictwu niejedną owoc dojrzały i ważki. Widać to z temperamentu, intelektualnego Brodzkiego, widać z jego rozległych zainteresowań artystycznych. Nie wszystkie studia w książce tej zawarte należy uważać za ostatnie słowo Brodzkiego. Jest to tylko możliwość, która, gdyby się rozwinęła, aczkolwiek i dziś przedstawia się bogato, byłaby bezwzględnie zapisała jego nazwisko na kartach polskiego piśmiennictwa. Dobrze się stało, że wydano prace po nim pozostałe. Spląca się tem dług jego marzeniom, jego tęsknotom, którym nie sądzono było ukazać się w całym majestacie rozwoju, w całym przepychu sił męskich.

G. D'ANNUNZIO. „Dziewicza ziemia”.

Nowele. Przekład Juliusza Ejsmonda. Nowele d'Annunzia śpiewają chwale łazurowemu morzu, śpiewają hymn żywiołom. Miłość wpośród nich króluje, jak srebrny szczyt gór nad horyzontem.

Czytając d'Annunzia, odbiera się wrażenie, że w życiu nic niema okrom miłości. Płonie ona, jak słup przejasny, prowadzący ludzi przez pustynię docesności. Dostyć jest przeczytać jedną nowelę zbioru „Delfin”, by przekonać się, jak d'Annunzio sprzął żywioły z sercem ludzkim, jak serce śpiewa mu hymn o morzu, a morze spowiada przyplwy i odpływy uczuć. Przekładu poetycznych nowel d'Annunzia dokonał p. Juliusz Ejsmond.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor STEFAN KRZYWOSZEWSKI.
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Dunajewskiego 1.

Druk Towarzystwa Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Z Kalotechniki.

Nr. 10. Wągry trzeba przedewszystkiem usunąć mechanicznie, następnie myć się Perelkami alkalicznymi oraz wycierać twarz płynem Vesta. Usuwanie wągrów i masaży twarzy wykonywa się w Kalotechnice przez uzdolnione specjalistki. Tamże wytworne manucure w każdym czasie.

Nr. 28. J. T. Przeciw tworzącym się zmarszczkom i suchej, szarawej cerze polecamy Emulsję Radium do wcierania w skórę oraz masaż Autowibratorem D-ra Johansena. Myć się raz dziennie Otrąbkami Vesta zamiast mydła z Wodą różaną radio-

aktywna. Po stosowaniu tej kuracji przez parę tygodni, cera będzie biała, gładka, zmarszczki się wyrównają.

Nr. 3. Czerwone ręce i nos skutkiem odziebienia wybieli Krem Eros. Jest to pewny i wypróbowany środek. W Krakowie przedstawicielem Kalotechniki jest Miklaszewski, pl. Dominikański 1, we Lwowie Pa-włowski, Akademicka 21. Listy z zapytaniami adresować należy wprost do Kalotechniki, Marszałkowska 116, telefon 16-73.

Zarząd Kalotechniki.

HEMOGEN

Dla dorosł. Dla dziecł.

MAGISTRA

Środek krwiotwórczy swiętsza apetyt, przywr. siły, wzmocnia układ nerwowy.

Skł. gł. 10, p. św. Aleksan. Apteka.

Klebon

(DLA CHORYCH NA CUKRZYCĘ)
SPRZEDAŻ W KLEPIE GŁÓWNYM
PIEKARNI NOWEJ A. L.
Nowy-Świat 68 T.

Siwie włosy

głną bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „Wody Pelanin”. Woda ta nie farbując przetrwaca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wrcblewskiej, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysyłka za zaliczeniem.

MOR

TEPI RADYKALNIE
szczury i myszy
wyłączna sprzedaż
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.
Skład apteczny i perfumeryjny.

„Au Délice”

CHMIELNA 14. Tel. 182-21.

Cukry, Czekolady, Kakao, Rізzкоpy i wszelkie wyroby z fabryk „Jan Fruziński”, „Fuchs”, oraz Rosyjskich i Zagranicznych stworzylam o czem zawiadamiam Sz. Odbiorców

BOGUMIŁA ZATORSKA.
Nowość: Zamówienia przyjmują się przez telefon do godziny 10-ej wieczorem, z odsyłaniem do domu. W niedziele i święta sklep otwarty od 2 do 5. Na prowincję za zaliczeniem.

KONFEKCJA MĘSKA i BIELIZNA



SIEWICZ i WASZKIEWICZ

70 Nowy-Świat 70.

LOTION DEQUEANT

WŁOSY
BRODA
BRWI
RZESY

ŚRODEK NA POROST WŁOSÓW, wstrzymuje ich wypadanie, zapobiega siwieniu, zwraca im pierwotny kolor bez użycia farb, w każdym wieku i we wszystkich wypadkach. Informacje bezpłatne. Na żądanie wysyła się nabytym miastowo franco wyciąg z raportu, przysiętego przez Akademię Medycyny w Paryżu. Zwraca się listownie i ustnie do L. Dequeant, pharmacien, 11 rue Cassanvert, Paris. Wystrzegać się naśladowców i falsyfikatów. Sprzedaż się we wszystkich lepszych aptekach. Agent Importat: Władysław Cebulski, Łódź, 29, Rue Mikolajowska.

Wydawnictwa Tow. Akc. Wydawniczego „Świat”

WINC. KOSIAKIEWICZ

Powrót z za świata

Cena rb. 1.—

BOLESŁAW GORCZYŃSKI

Na tropie trucizny

ROMANS.
Cena rb. 1.80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Dr. Bengué, 47, Rue Blanche, Paris.



Baume Bengué

WYLECZENIE ZUPEŁNE
PODAGRY — REUMATYZMU
Cena: 1r. 20k. NEWRALGII Cena: 1r. 20k.

Dostać można we wszystkich aptekach. Originalne pudełko zaopatrzone różową są banderolą podpisem Dr. Bengué. 7920

Niemoc męską leczy radykalnie

9009 — PATENTOWANY APARAT PASTORA

Seweryn PIK, Warszawa, Danielewiczowska 8 m. 20.

Cena rb. 25.

STANISŁAW PRUSZKOWSKI
 :: WARSZAWA ::
 Srebrna № 14.
Największa w kraju Fabryka cukrów
 POLSKA ZNANE ZE SWOJ DOBROCI WYROBY.